

Nad oceanem Qeredsa zapadał zmierzch. Na niebie pojawiały się ostatnie promienie słoneczne, coraz jaśniej oświetlające swoim blaskiem oleiste morskie wody, coraz bliżej horyzontu, niczym przydrożne latarnie ulice. Momedes, zaspany, spojrzął na zegarek wiszący na ścianie. Dochodziła piąta.

W drugiej części pokoju smacznie spał Platostenes.

Za oknem słychać było szum fal morskich rytmicznie uderzających w filary platformy wiertniczej Rmea. Dźwięk ten zachęcał do dalszego spania. Platforma wiertnicza, stojąca na pełnym oceanie Qeredsa, rzucała cień na wody oceanu.

Momedes założył swój kombinezon zrobiony z uretanu wytrzymującego panującą tu temperaturę minus 106°K. Krzątając się po kuchni w celu przygotowania sobie śniadania, obudził Platostenesa, który po chwili, ziewając, wszedł do kuchni i nalał sobie do czerwonego kubka świeżo zaparzoną w ekspresie herbatę

— Paskudna pogoda — rzekł, patrząc przez okno na wzburzone fale.

Momedes wzdrygnął się na te słowa i odpowiedział:

— Idzie sztorm.

— Idę dojrzeć roboty przy wydobyciu ropy.

— Za kilka minut i ja się tam zjawię — oświadczył Platostenes, rozpościerając ramiona w geście przeciągania, by usunąć z ciała resztki snu.

Platostenes, gdy przechodził między ścianami rur wiertniczych, potknął się o jedną z trzech belek i o mało się nie przewrócił. Rozzłoszczony kopnął ją, krzyząc:

— Na jeża! Co to robi pod nogami?!

Momedes, oparty plecami o barierkę, zapiął kombinezon aż po szyję, gdyż przenikał go nieprzyjemny porywisty wiatr. Zwrócił się do ciągle złego, idącego w jego stronę Platostenesa:

— Zawsze lubiłem wtorki... A tu taka pogoda.

Po chwili nadeszła ogromna fala, która zakryła platformę i zmyła ich z pokładu w objęcia wzburzonych oceanicznych fal. Zaskoczeni nie zdążyli nawet złapać się metalowych barierek. Pieniące fale powstałe od uderzających o cztery filary Rmey zaczęły ich oddalać od platformy, wpychając w bezkresny ocean. Chwycili się płynącej równolegle z nimi belki z drzewa żelazowca, którą kilka minut wcześniej z taką złością Platostenes wykopał w morze. Pływanie w styczniu nie jest przyjemne. Ich organizmy uległyby natychmiastowemu wyziębieniu, gdyby nie uniformy, w które byli ubrani. Do tego wichura na powierzchni spieniła fale.

Heksany, widząc całe zdarzenie, zawiadomiły służby ratownicze, ale ze względu na silny wiatr działania nie mogły zostać podjęte natychmiast, a dopiero po zachodzie słońca. Ciemność ukryła wszelkie ślady przed wzrokiem ekip ratunkowych. O 26:30 krążownik wojenny Kepuch LM, dowodzony przez Heksana N3SC, oddalony o pięć tysięcy mil od Rmei, zderzył się z jedną z trzech belek żelazowca wymytych z Rmei.

— Będziemy tak dryfować, aż fale oceanu nas poniosą, gdzie im się tylko podoba — stwierdził zrezygnowany Platostenes.

— Może nas Orion wyłowi z wody? — westchnął Momedes.

— Jak ryby.

— Jesteś blady — zauważył Momedes do trzymającego się belki kolegi.

— *Tabuli in naufragio* — rzucił przed siebie w przestrzeń Momedes.

— Co tam mruyczysz pod nosem?

— Nasza ostatnia belka ratunku!

Czas płynął wolno. Kepusie zamlikły, zasypiając. Nad rankiem Platostenes przerwał milczenie:

— Dobrze, że lubię wodę.

— Pierwszy raz w życiu spałem w wodzie — odpowiedział Momedes, trzymając pod brodą belkę.

— Ja też.

— Słyszę ryk pracujących silników.

— To statek.

— Gdzie? — Platostenes odwrócił się. — To brzmi raczej, jakby kilka silników.

W nocy ze środy na czwartek wiatr ustał. Kepusie rozejrzały się, szukając wzrokiem źródła dźwięku. Dopiero, gdy zadarli głowy w górę, zauważyli nadlatującego Kemitera, zrzucającego ładunek, który po dotknięciu wody automatycznie się napompował, przybierając kształt pontonu.

— Nigdy nie myślałem, że będę się cieszył na widok tej hałaśliwej maszyny — oświadczył z uśmiechem na twarzy Platostenes.

Puścili się belki i resztkami wykrzesanych z siebie sił przepłynęli pół mili do pneumatycznej tratwy ratunkowej o kształcie pływającego stożka barwy jasnopomarańczowej. Wdrapali się na pokład i zamknęli za sobą właz. Ocean znów zaczął pokazywać swoją potęgę. Nadchodził sztorm. Nagle automatycznie pootwierały się hermetycznie zamknięte warstwowe kanapki i pierogi z pieczarkami oraz butelki z zimnym mlekiem. Wygłodniałe i zmęczone Kepusie zjadały z apetytem.

Kawał tworzywa, od którego zależał ich los, miał niespełna trzy metry kwadratowe. Drobinka na liczącym prawie trzy miliardy kilometrów kwadratowych oceanie.

Platostenes nigdy przedtem nie był w tak trudnej sytuacji. Najważniejsze było ustabilizowanie silnie kołyszącej się pod naporem fal tratwy. Wewnątrz ratunkowej łodzi temperatura przekroczyła 14°K. Zamknięcie dachu było rozsunięte tylko trochę, bo stale uderzały o niego ogromne fale, zalewając nieustannie całą jednostkę.

— Prądy zaczęły spychać ich w kierunku Antares — zauważył Platostenes po sprawdzeniu na GPSie. — Za tydzień będziemy na wodach uczęszczanych przez tankowiec.

W myślach jednak dodał z niepokojem: „Tylko w jakim stanie wtedy będziemy?”.

Platostenes obliczył, że statystycznie każdego dnia powinni mieć w polu widzenia jakiś statek. W dzień trudno było zauważyć rozbitków, ale w nocy światła pontonu powinny być widoczne nawet z pewnej odległości. Bująło tak mocno, że nie dało się zasnąć. Wyjrzał w ciemność. Była prawie 25:00 w nocy. Obserwował otoczenie kilka godzin bez przerwy, gdy nagle...

— Tam! Patrz! — zaczął krzyżeć wniebogłosy. — Są światła!

Nie są już sami! Momedes czym prędzej wystrzelił flarę. Rozświetliła nocne niebo na wiele metrów dookoła.

— SOS! SOS! SOS! — Platostenes wywoływał, pochylony nad radiem satelitarnym.

— *Słyszemy cię. Jaka jest wasza pozycja?*

Platostenes podał współrzędne z GPSu i dodał:

— Jesteśmy z Rmei.

— *Tak, wiemy o waszych poszukiwaniach* — odpowiedział Heksan, kapitan krążownika wojennego patrolującego te wody.

Potwierdził, że przyjdzie im z pomocą. W pewnej odległości rozbitkowie zauważyli kołyszące się czerwone i białe światła. Pomo zbliżała się powoli, bardzo powoli. Mieli wrażenie, że manewry krążownika trwają bez końca.

Cztery godziny później okręt zatrzymał się pół mili od nich. Zobaczyli błyszczącą w świetle księżyca metalową drabinkę i otwarte drzwi na mostku. Jak się tam dostać? Pontonem nie da rady. Morze było zbyt wzburzone.

— Nie mają pojęcia, że jesteśmy na tratwie — powiedział z rozpaczą Momedes.

Platostenes uniósł wysoko ręce i zapalił flarę, która oświetliła wszystko w obrębie stu metrów wokół nich. Musiano zauważyć to światło z mostka frachtowca. Jednak nerwowe oczekiwanie trwało. Minęły już cztery godziny od chwili, gdy Platostenes spostrzegł okręt. Z przenośnego radia usłyszeli dudniący głos kapitana.

— *Powiadaliśmy służby ratunkowe na Atel!*

Nadszedł świt, a okręt powoli ruszył w dalszą drogę. Rozbitkowie obserwowali to w osłupieniu. Właśnie odpływał jedyny okręt, który mógł ich uratować.

Nazajutrz było gorąco i nudno, co wywiera negatywny wpływ na samopoczucie i zdrowie Kepusiów.

— Wszystko mnie swędzi — oświadczył Momedes.

— Nasze przetrwanie w dziewięćdziesięciu procentach zależy od głowy i sposobu, w jaki ją wykorzystasz. Inni rozbitkowie przed nami przetrwali na oceanie, bo mieli ważny powód i trzymali się go bez względu na sytuację — stwierdził Platostenes do leżącego na brzuchu, z głową przekrzywioną na lewą stronę, Momedesa. — Ja mam tyle ważnych powodów, że powinienem żyć z milion lat.

Po trzech dniach znudziło im się już granie w karty dla zabicia czasu. Wszystkie znane im gry i ich warianty wydały im się obrzydliwe i niechętnie obaj chcieli podjąć kolejne wyzwania. Gorąco było obojętne. Dach tratwy chronił co prawda przed palącymi promieniami słonecznymi, ale jednocześnie zamieniał ich niewielką przestrzeń w saunę. Mijały pełne udręki godziny. Wydawało się, że czas stoi w miejscu. Zapadła cisza. Nie patrzyli na siebie. Ogarniała ich coraz większa rozpacz.

„Ciekawe, czy jeszcze zobaczę rodzinę, przyjaciół?” — zastanawiała się Joelle.

— Z prowiantu zostały niecałe trzy litry wody. Umrzemy z odwodnienia — przerwał ciszę Platostenes.

— Na sto procent nie umrzemy. Ratunek już płynie.

— Albo leci.

Momedes wspominał gry, wędrowniki po górach, biwaki.

Dryfowali już czwarty dzień. Nie widzieli na morzu żywego ducha. Czekali na ratunek, ale nikt się nie zjawiał.

— Myślisz, że Heksan naprawdę powiadomił służby ratunkowe? — spytał rozpaczliwym głosem Momedes.

— Sam nie wiem — odparł Platostenes. — Nie powinien nas zostawiać samych na środku oceanu, chociaż w końcu to jest tylko uformowana ze stali i plastiku maszyna. Może miał zwarcie i nas okłamał?

Nadeszło późne popołudnie. Platostenes sięgnął po radio i nacisnął guzik ON, po czym bez nadziei, bezmyślnie, powtarzał:

— SOS! SOS! SOS!

— *Słyszmy cię głośno i wyraźnie, ale cię nie widzimy.*

Momedes momentalnie rzucił się do wejścia tratwy, rozglądając się nerwowo po horyzont. W końcu wystrzelił flarę.

— *Zlokalizowałem cię* — zabrzmiał w radiu głos Folemais.

— *Już lecimy* — dodał Fonon.

Wkrótce usłyszeli głuchy pomruk.

— Jest! JEST! NADLATUJE! — krzyknął Platostenes. — To śmigłowiec wojskowy! (typu lockheed vh71 — przyp. autora).

Okręt, który ich znalazł i odpłynął bez nich, zameldował o ich trudnym położeniu. Ciemnozielony olbrzym zawisł pięć metrów nad nimi i spuścił sznurkową drabinę, na którą pierwszy wspiął się ciągle marudzący Momedes, a za nim Platostenes. Gdy dotarli na pokład i zobaczyli pilota, nie mogli się nadziwić:

— Przecież jesteś rolnikiem.

— Nadal nim jestem, ale teraz Heksany pracują za mnie, a latanie od zawsze było moim hobby — odrzekł Folemais, podając na powitanie rękę Momedesowi. Rozbitkowie źle wyglądali, mieli podkrążone oczy, ale się uśmiechali. Folemais powitał ich na pokładzie kubkiem gorącej kawy. Smak soary przypomniał im stały ląd i ciepło domowego ogniska.